



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

WIZERUNKI KRÓLÓW i KSIĄŻĄT POLSKICH

w zeszytach do kolorowania z tekstem
ułożonym przez *H. MOŚCICKIEGO*

nabywać można w pierwszorzędných księgarniach
i składach materiałów piśmiennych i zabawek

SKŁAD GŁÓWNY

Towarzystwo Wydawnicze „ŚWIT“.

Warszawa, Krak. Przedm. 69. Telefon 194-06.

52. 109. 6.

W ADMINISTRACYI „WIECZORÓW RODZINNYCH“

Są do nabycia DLA MŁODZIEŻY następujące tanie książki:

| | | | | | |
|--|-----------|---|---------------|---|-------------------|
| <i>W. Umiński.</i> „Synowie puszczy“ powieść w trzech tomach ozdobna oprawa | kop. 1.00 | <i>Alicya Morris.</i> „Wakacje w wo- zie“, opowiadanie z rysun- kami w ozdobnej oprawie z przesyłką pocztową | kop. 40 50 | <i>Walter-Scott.</i> „Iwanhoe“ po- wieść historyczna z czasów Ryszarda I-go, opracował dla młodzieży H. Rawicz | kop. 1.20 1.50 |
| z przesyłką pocztową | 1.20 | | | z przesyłką pocztową. | |
| <i>M. Leśniewska.</i> „Entuzjastka“, powieść w ozdobnej opr. | 80 | <i>R. Bringer.</i> „Przypadki Gamo- nia“, pow. humorystyczna | 1.00 | <i>Z. Bukowiecka.</i> „Pamiętniki Bieniowskiego“ | 80 |
| z przesyłką pocztową | 1.00 | z przesyłką pocztową | 1.30 | z przesyłką pocztową | 1.00 |
| <i>E. Jezierski.</i> „Ze świata cza- rów“, zbiór podań, baśni i legend, 2 tomy ozdobna oprawa | 80 | <i>A. Grudzińska.</i> „Mnich“, pow. z czasów Ryksy i Kazimie- rza Odnowiciela | 60 80 | <i>K. Deslys.</i> „Dziedzictwo Karola Wielkiego“, pow. history- czna“ z IX wieku, przekład z francuskiego M. K . . . | 50 70 |
| z przesyłką pocztową | 1.00 | z przesyłką pocztową | | z przesyłką pocztową | |
| <i>H. Malot.</i> „Roman Kalbris“, opowiadanie 2 t. w ozdo- bnej oprawie | 75 | <i>H. Rzewuski.</i> „Zamek Krakow- ski“, powieść historyczna z XVI wieku | 60 80 | <i>J. I. Kraszewski.</i> „Resurrec- turi“, powieść. | 80 |
| z przesyłką pocztową | 1.00 | z przesyłką pocztową | | z przesyłką pocztową | 1.00 |
| <i>Kapitan Mayne Reid.</i> „Zdzie- racze Czupryn“, powieść w ozdobnej oprawie . . . | 80 | <i>M. Łopuszańska.</i> „Na waka- cyach“, powieść | 50 | <i>Teresa Jadwiga.</i> „Hrabina“, powieść | 50 |
| z przesyłką pocztową | 1.00 | z przesyłką pocztową | 70 | z przesyłką pocztową | 70 |

ORAZ:

Komplety z dziesięciu dzieł wybitnych autorów dla młodzieży: W. Umińskiego, I. Mrozowickiej, Alfonsa Daudeta, M. Zielińskiej, A. Grudzińskiej i innych rb. 2, z przesyłką pocztową rb. 2 k. 80. Komplety z sześciu dzieł rb. 1 k. 20, z przesyłką pocztową rb. 1 k. 70.

POCZTÓWKI

KOPIE Z OBRAZÓW W BARWNEJ WYKONANIU I NA PAPIERZE
BROMOSREBRNYM POLECA W WIELKIM WYBORZE HURTOWY SKŁAD

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„ŚWIT“
w Warszawie Krak. Przedm. 69.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

JANINA PORAZIŃSKA.

Galerya Drezdeńska.

d. c.

Dzięki tej pracy i walce z przyrodą, holender stał się praktycznym, czynnym, ostrożnym i mądrym; stał się dobrym obserwatorem, ale nie marzycielem, nie twórcą o wyobraźni gorącej i niespokojnej.

Cała ich inteligencya zwraca się w kierunku praktycznym, nie mają poetów ani filozofów (wówczas) ale na początku XVI w., prawie że nie ma w ich kraju alfabetów!

Na tem podłożu kultury i bogactwa rozwija się w Holandyi i Flandryi malarstwo. Zapoczątkowane przez braci van Dycków w XIV w., do najwyższego rozkwitu dochodzi w stuleciu XVII.

Ludzie na wskroś realni mogli wytworzyć sztukę tylko realną.

I istotnie.

Gdy przechodzimy przez długi szereg sal Galeryi Drezdeńskiej, zawieszonych od góry do dołu obrazami malarzy holenderskich i flamandzkich, widzimy, że szukali oni tematów nie w sferze wyobraźni, lecz brali je z otaczającego świata.

Wszystko na co patrzą jest dla nich godnem utrwalenia na płótnie. Nie gardzą żadnym tematem choćby najbardziej pospolitym; owszem, realizm graniczący z ordynarnością najbardziej zdaje się ich pociągać.

Przenoszą na płótno wnętrza kuchni i karczem, pijatyki i bijatyki, kiermasze i zabawy, zwierzęta, martwą naturę, potyczki, krajobrazy...



GUIDO RENI.

M. B. BOLESNA.

Ludzi nie wypiękniają i nie idealizują, malują ich takimi, jakimi byli w tym kraju: tęgich, ciężkich, o kształtach z gruba ociosanych, o twarzach brzydkich, szerokich, rysach nieregularnych.

Nie widzimy tam ludzi smutnych, pełnych bólu, ani twarzy rozjaśnionych myślą podniosłą lub ekstazą uczucia.

Holender nic nie chce upiększyć, chce tylko dać prawdę, choćby była ona najbardziej brzydka lub ordynarna.

Dobrobyt, równowaga moralna wytwarzały tam zdrowie i zadowolenie. A więc i malowani przez nich ludzie mają dusze zdrowe w ciałach uszczęśliwionych.

Doskonała forma, wielka drobiazgowość i wierność w oddaniu szczegółów, oraz wspaniały koloryt, są głównymi cechami malarstwa flamandzkiego i holenderskiego.

Dwie pierwsze zalety wynikają z ich sumiennej pracowitości, ale skąd trzecia?

Na to pytanie może nam dać odpowiedź klimat tych stron.

W kraju, gdzie powietrze jest czyste, niebo błękitne i pełno słońca, każdy przedmiot zarysowuje się wyraźnie, odcina zdecydowanym konturem na tle błękitu i światła.

W takim kraju oko malarza, patrząc wciąż na wyraźnie zarysowujące się linie przedmiotów, staje się czułym na formę, kontur, i w takim kraju malarze są doskonałymi rysownikami.

(Każdy obraz np. postać ludzka, zanim została wymalowana musi być przedewszystkiem narysowana węglem na płótnie i wówczas to nadajemy jej kształt: odpowiednią długość rąk, nóg, owal twarzy, kierunek spadającej szaty i t. p. i ten to rysunek może być dobrym lub wadliwym).

Wszyscy florency malarze byli doskonałymi rysownikami, bo Florencya ma suche powietrze, pełna jest błękitu i słońca.

Co innego w Holandyi.

Słońca tu prawie nigdy nie widać. Niebo powleczone chmurami, w powietrzu unoszą się mgły.

Każde drzewo, dom, wieża otoczone mgłą, wyłania się z niej delikatnie, kształtem niepewnym, rozplywającym się.

Tu zato pięknie zarysowuje się barwa.

W kraju jasnym, pogodnym złoto słońca załewa wszystko tak gorącym blaskiem, że wobec tego przemożnego światła bijącego z góry bledną, lub zgoła stają się niewidocznymi barwy i odcienia.

Tam, na północy, wszystkie przedmioty wyłaniają się z blado popielatych zasłon we właściwym sobie kolorycie.

Stosownie do gęstości mgieł, do grubości ich warstwy leżącej tu lub owdzie, barwy są wyraźniejsze lub bledsze.

Oto chata wśród zieleni z czerwonym ceglastym dachem. Widać wyraźnie choć nie jaszkrawo wszystkie jej barwy, ale oto mgła zaczyna się zwolna zgęszczać. Zrazu owija chatę leciuchnym welonem, potem stopniowo coraz grubszym. W miarę tego barwa dachu, ścian, drzew staje się coraz bledszą coraz mniej uchwytą.

Jakież tu na każdym kroku bogactwo tonów, odcieni, stopniowania barw, ileż półblasków i przyćmień!

Patrzyli wciąż na to malarze i dlatego wyrobili w sobie doskonałe poczucie barw.

W podobnych warunkach klimatycznych znajduje się Wenecya i dlatego wszyscy malarze weneccy są doskonałymi kolorystami. Tylko pomimo pewnej ilości oparów wodnych jest tam też dużo słońca, bo wszak to południe Europy, a więc i koloryt tam bardziej złoty, gorący — a tu w Holandyi na 3,000 wiorst bardziej na północ jest on więcej dyskretny, tony ma łagodne błękitnawe*).

Długi jest szereg nazwisk malarzy holenderskich i flamandzkich, których obrazy w Galeryi Drezdeńskiej ściągają uwagę.

Ograniczę się tylko do najwybitniejszych. Jedna z ogromnych tu sal, nazwana salą Rembrandta, posiada kilkanaście płócien tego znakomitego artysty, który mistrzowsko umiał oddawać światło i cień, padające na twarze i postacie ludzkie.

Wszystkie jego obrazy są ciemne, malowane aqua-fortą i wszystkie jako główny przedmiot mają portret człowieka.

Galerya Drezdeńska posiada między innymi arcydzieło pędzla Rembrandta: jest to on sam wraz z żoną Saskią przy śniadaniu.

Oboje ubrani bogato, przy suto zastawionym stole. Biję od nich wesołość, zdrowie, zadowolenie z życia.

Rembrandt pozostawił ogromną ilość płócien. Pozwoliło mu na to długie życie (1606—1669), a dopomogła ogromna pracowitość i nie mniejsza od niej chęć zysków materyalnych.

*) Charakterystyka malarstwa północnego podług pracy H. Taine'a.

W innej dużej sali, nazwanej Rubensowską, widzimy płótna wielkich rozmiarów tego „księcia malarzy flamandzkich“.

Rubens od wczesnego dzieciństwa zdradzał wielkie zamiłowanie do malarstwa, ale że był pięknej powierzchowności, miał duże zdolności i bardzo staranne wychowanie, ojciec marzył dla niego o karierze dworskiej i oddał chłopca na dwór książęcy w charakterze pazią.

Nie zmieniło to jednak natury dziecka. Wykwint życia przy boku księżym, zabawy, uroczystości nie zadawały go; marzył wciąż o malarstwie i po śmierci ojca uprosił matkę, aby odebrała go ze dworu i pozwoliła wstąpić na naukę do pracowni malarzkiej.

A gdy stało się zadość życzeniom młodego Piotra, zabrał się do pracy tak gorliwie, robił tak znaczne postępy, że w 23-im roku życia nie potrzebował już żadnych nauczycieli, bo tworzył samodzielnie rzeczy doskonałe.

Prawie wszystkie jego płótna są ogromnych rozmiarów, a na nich ludzie nadnaturalnej wielkości, tędzy, o twarzach wesołych, bez troski.

Rubens świetnie oddaje ciało ludzkie, jego kształt i barwę skóry.

Długi szereg małych gabinecików mieści w sobie obrazy malarzy flamandzkich.

Wszystko to są płótna małej wielkości a na nich przedmioty oddane z nadzwyczajną drobiazgowością i finezyą wykończenia.

Oto przedemną „Handlarz zwierzyny“ G. Metsu. Przed starym przekupniem siedzącym na cebrzyku stoi młoda flamandka pogrążona w głębokiej kontemplacji: kupić czy nie kupić zachwalanego koguta?

Trudno sobie wyobrazić bardziej wyczelowaną pracę, niż ten obraz.

Każda zmarszczka na twarzy kupca, każde

piórko ptaka, każda fałdka delikatnego fartuszka kobiety, oddane są z jubilerską dokładnością.

Trzeba było z pewnością wielu tygodni mozolnej pracy dla wymalowania tego maleńkiego obrazka.

A jakie tu barwy delikatne, pięknie sharmozonowane.

.....

Ulubionym tematem dla malarzy flamandzkich i holenderskich są sceny z życia domowego.

Widzimy tu na płótnach w różnych odmianach, w różnych oświetleniach: wnętrza kuchni, pracownie malarzkie, karczmy a w nich pijaków kłócących się i bijących; dentystów wyrywających zęby nieszczęsnym, srodze wykrzywionym z bólu pacjentom a wszystko to oddane z realizmem graniczącym z brutalnością.

Tkwia tak w życiu banalnym i codziennym, że zdają się unikać takich tematów, które życie dać może, a które jednak wyrastają ponad miarę przeciętności.

Jeden z malarzy flamandzkich (Dawid Teniers) przezwany „malarzem kiermaszów“ z największym zamiłowaniem oddaje zabawy ludowe, przyczem nic nie idealizuje i nie upiększa.

Jest to typowy malarz flamandzki. W umyśle jego jak w gładkim zwierciadle odbija się życie.

Pyszne są jego kiermasze, na których widzimy pijaków, podtrzymujących rękoma brzuszki zbyt obciążone nadmierną ilością piwa; pary tańeczne niezgrabne, ciężkie, podskakujące z jakąś niedźwiedzią gracyą a na boku dzieci—rozplaszczone istotki o starych twarzach.

I tak idąc od obrazu do obrazu przez te szeregi sal, widzimy kipiące zdrowiem i zadowoleniem, oddane pracy, lub hulankom, życie.

Sposoby przenoszenia się z miejsca na miejsce.

d. c.

Raz, pamiętam, byłem ze swą krewniaczką na wystawie i zaszedłem do pawilonu, gdzie można było przysłuchiwać się muzyce telefonicznie. Moja kuzynka była to osoba starsza i nie słyszała jeszcze o telefonie.

Kiedy rozległy się dźwięki trąbki, wychodzącej z małego przyrządu, stojącego na środku sali, na zwyczajnym stole, staruszka zamiast się dziwić pięknemu wynalazkowi, rzekła z oburzeniem: „A to oszusty!” Wydało jej się, że padła ofiarą podejścia i daremnie starałem się jej wytłomaczyć, że to wcale nie oszustwo, a rzecz naturalna dla tych, co ją potrafią zrozumieć.

Podobnie zachowują się dzicy ludzie wobec innego wynalazku, równie pięknego, dowcipnego i zdumiewającego, każącego nam uwielbiać geniusz ludzki, to jest fonografu. Zasada tego wynalazku, służącego już nie do przenoszenia, lecz do powtarzania wszelakich dźwięków, a więc także mowy ludzkiej, jest równie prosta jak zasada telefonu.

Wyobraźcie sobie cylinder z twardego wosku, obracający się szybko przy pomocy mechanizmu zegarowego albo elektrycznego i błonkę mikową czy metalową ze sztyfcikiem na końcu, przytykającym do powierzchni woskowego walca. Oto całe urządzenie pozwalające nam słyszeć mowę ludzką, odtworzoną w najdrobniejszych szczegółach.

Kolec rzeźbi, pod wpływem drgającej od głosu błony, linię spiralną na powierzchni walca. Linia ta składa się z szeregu zagłębień, wiernie odpowiadających drganiom błony. Kiedy mowa jest w ten sposób zapisana, dość puścić walec na nowo od początku, wtedy sztyfcik będzie wpadał w zagłębienia, błona z nim połączona zacznie drgać zupełnie tak samo, jak drgała pod wpływem dźwięków i usłyszymy głos w najdrobniejszych szczegółach!

Nie tylko mowę ludzką można odtwarzać w ten sposób, ale także muzykę, chociażby nawet orkiestrę składającą się z dwudziestu instrumentów, czy też chór z kilkudziesięciu ludzi.

Fonografy i ich odmiana gramofony, służące specjalnie do odtwarzania dźwięków muzycznych, rozpowszechniły się bardzo, zastępując dawne szkatułki grające.

W ostatnich czasach udało się pewnemu wy-

nalazcy połączyć telefon z fonografem w ten sposób, że mówi przez telefon, a przesłane dźwięki zapisuje fonograf.

Jeżeli by nas nie było w domu, a ktoś przesłał nam telefonem jakąś wiadomość, to za powrotem puszczałyby nasze przyrządy telefoniczne i odczytujemy, a raczej wysłuchujemy zanotowane przez niego wiadomości.

Mowa zanotowana przy pomocy fonografu daje się przechowywać chociażby przez kilkanaście lat na walcach woskowych i powtarzać dowolnie każdej chwili. Ktoś może oddawna umrzeć a głos jego pozostaje! Czyż to nie zdumiewające, niemal nie cudowne?!

Na tem zamykamy przegląd rozmaitych wynalazków dziewiętnastego wieku, odnoszących się do przenoszenia myśli ludzi na odległość. Liczba ich jest wielką, ale doniosłość ich i genialność jeszcze większa. Wiadomo już, że jeden z elektrotechników wynalazł telefon, pozwalający porozumiewać się bez pomocy drutów przez powietrze. Taki telefon odpowiadający telegrafowi bez drutu, jest koroną wynalazków, mających na celu przenoszenie myśli. Wiek dwudziesty dzielnie korzysta ze spadku, odziedziczonego po swoim poprzedniku i prowadzi dalej tak chlubnie rozpoczęte przez niego dzieło uniezależnienia człowieka od przestrzeni.

W. U.

O. CONAN DOYLE.

ZAGINIONY ŚWIAT

OPOWIEŚĆ O ZDUMIEWAJĄCYCH PRZYGODACH
PROFESORA JERZEGO CHALLENGERA, LORDA
JOHNA ROXTONA, PROFESORA SUMMERLEE
I PANA EDWARDA MALONA, CZŁONKA REDAKCYI
„GAZETY CODZIENNEJ”.

c. d.

PRZEKL. Z ANG. M. G.

Nie wiem jaki rodzaj zwierząt zamieszkuje takie gąszcze, ale niejednokrotnie słyszeliśmy nurkowanie jakichś ciężkich ciał wśród bambusów, tuż koło nas. Lord Roxton przypuszczał, że to dzikie bydło rogate. Dopiero gdy się ściemniło, wydobyliśmy się z bambusowego gąszczu i rozłożyli się obozem, wyczerpani zupełnie trudami tego dnia bez końca.

Nazajutrz wczesnym rankiem byliśmy już na nogach. Znowu zmienił się zupełnie widok okolicy. Za nami pozostały zarośla bambusowe, a przed nami rozścielała się rozległa płaszczyna, podnosząca się lekko w górę, zasiana kępami pa-

proci drzewiastych, zakończona w głębi długim grzbietem pasma pagórków. Doszliśmy około południa do płaskiej doliny, skąd zaczęliśmy się znowu wspinać do góry. I tam, przy wchodzeniu na pierwsze wzgórze, zdarzyło nam się coś nieprzewidzianego.

Challenger, idący przodem z dwoma indjanami, nagle stanął jak wryty, wskazując ze wzruszeniem na prawo. Ujrzelśmy mniej więcej w odległości kilóm. coś podobnego do olbrzymiego ptaka, co się powoli zerwało z ziemi, odfrunęło, lecąc nisko w powrotnej linii, i znikło wśród drzewiastych paproci.

— Widzieliście?! — krzyknął Challenger — Summerlee! czy widziałeś?

Summerlee wpatrywał się w to miejsce, gdzie znikło dziwne zjawisko i zapytał:

— A pan sądzisz, że to jest co?

— Najniezawodniej „pterodactyl” — odrzekł profesor.

Summerlee zaśmiał się drwiąco.

— Ptero—bajka! — zawołał. — Napewno bocian...

Challenger był tak rozczłuszczony, że nie mógł mówić. Zarzucił tylko torbę na plecy i ruszył dalej. Lord Roxton szedł obok mnie, poważniejszy niż zwykle. Trzymał w ręku lornetę.

— Zdążyłem to obejrzeć, zanim znikło między drzewami — powiedział do mnie. — I o zakład idę o moją sławę myśliwską, że to nie był żaden z ptaków, na jakie kiedykolwiek patrzyły moje oczy!

Tak stoją obecnie rzeczy. Czy istotnie stanęliśmy na granicy nieznanego świata? Czy spotkaliśmy pierwsze placówki tych istot, o których opowiada nasz przewodnik? Podaję to co widziałem, bez uwag.

Przeprowadziłem was, czytelnicy, jeżeli będziecie kiedy czytali to co piszę, przez olbrzymią rzekę, przez ściany bambusowych zarośli, przez płaszczyzny zasiane kępami drzewiastych paproci. Teraz cel naszej podróży leży już wyraźnie przed nami. Przejdziemy przez pasmo pagórków i będziemy się wspinali na łańcuch skalisty, który widziałem na szkicu amerykańnika. Rozciąga się on przed naszymi oczyma, bez żadnej wątpliwości ten sam. Challenger puszy się jak paw, Summerlee milczy, lecz jeszcze nie dowierza.

Zbliża się ku nam nasze przeznaczenie. A że José, któremu ramię przebił złamany bambus, chce koniecznie wracać, powierzam mu ten list, w nadziei, że może dojdzie do rąk waszych.

Zamyka się na nim wstęp, który może służyć jako wyjaśnienie do dalszej naszej podróży. Będę pisał ciąg dalszy, czekając na sposobność do przesłania następnych wiadomości. Ale czy gdzie i kiedy ją znajdę?...

IX.

Ktoby mógł to przewidzieć?

Zdarzyło nam się coś okropnego. Ktoby to mógł przewidzieć? Nie widać końca naszych kłopotów... Może skazani jesteśmy na spędzenie całego życia w tych niedostępnych puszcach? Nie mogę myśleć spokojnie! Teraźniejszość wydaje mi się groźna... Przyszłość czarna jak noc...

Jesteśmy pozbawieni wszelkiej nadziei pomocy ludzkiej. Ale towarzyszymi moimi są trzej dzielni ludzie, silnej głowy i niezachwianej odwagi. W tem nasza jedyna nadzieja. Ich spokojne twarze dodają mi otuchy. Staram się taić nurtujące mnie obawy.

Kiedy skończyłem mój list ostatni, staliśmy w odległości siedmiu mil od nieskończonego długiego pasma skał otaczającego płaskowzgórze, o którym mówił Challenger.

Skały, gdyśmy się do nich zbliżyli, wydawały się wyższe, niż profesor przypuszczał, miejscami miały do tysiąca stóp wysokości, formację zaś bazaltową. Na szczycie zieleniła się bujna roślinność: na brzegu zarośla, w głębi wyniosłe drzewa.

Owej nocy rozłożyliśmy się obozem pod samymi prawie skałami. Skaliste ściany były nie tylko prostopadłe, lecz u góry wyginały się na zewnątrz, tak że o wejściu na nie nie mogło być mowy. W pobliżu mieliśmy skalistą piramidę, o której wzmiankowałem poprzednio. Podobna do kościelnej wieży, wierzchołkiem sięgała do szczytu płaskowzgórza, od którego oddzielała ją głęboka i szeroka rozpadlina. Na szczycie rośło jedno wielkie drzewo. Wysokość skały i płaskowzgórza wynosiła, jak sądzę, pięćset do sześciuset stóp.

— Na tem drzewie — rzekł Challenger — siedział wówczas pterodactyl. Wspiąłem się do wysokości połowy skały zanim go zastrzeliłem. Ponieważ mam wprawę w chodzeniu po górach, sądzę, że mógłbym wdrapać się na sam wierzchołek tej skały, chociażby nie zbliżyło by mnie to wcale do płaskowzgórza.

Gdy Challenger mówił o swoim pterodactylu, spojrzałem na profesora Summerlee; pierwszy raz na twarzy tego ostatniego nie dojrzałem szyder-

stwa tylko głębokie zadumanie, coś nakształt niepewności i żalu. Challenger także to zauważył i rzekł w zwykły swój niezręczny sposób:

— Naturalnie, gdy mówię o pterodactylu, mój czcigodny kolega jest przekonany, że mam na myśli bociana...

Roześmiał się, mrugnął i skłonił nisko. Summerlee odwrócił się i odszedł.

Po skromnem śniadaniu z kawy i manioku, bo musieliśmy oszczędzać naszych zapasów, złożyliśmy radę wojenną, w jaki sposób dostać się na płaskowzgórze.

Prezydował Challenger, uroczysty, rozsiadłszy się na skale, w śmiesznym, chłopięcym kapelusiku, zsuniętym na tył głowy, spoglądając wyzywająco z pod przymkniętych powiek, kołysząc wielką czarną brodą w takt rozmowy.

Poniżej siedzieliśmy my trzej: lja, ogorzalcy i zmężniały po przebytych trudach; Summerlee zawsze uroczysty i sceptyczny z nieodstępną fajeczką; lord Roxton zimny i smutny, oparty na sztucerze, orlemy oczyma wpatrując się w prezydującego. Za nami siedzieli dwaj metysi i gromadka indjan, a nad naszymi głowami sterczały skaliste żebra podpierające płaskowzgórze.

— Będąc tu poprzednio — zagaił rzecz Challenger — nie miałem z sobą żadnych przyrządów do wspinania się na góry, ale teraz zabrałem co potrzeba. I nie wątpię, że dzięki temu zdołamy wdrzeć się na tę odosobnioną skałę. Wówczas nagliła mnie do pośpiechu nadchodząca pora deszczowa i brak zapasów. Dlatego przeszedłem tylko przestrzeń sześciu mil u podnóża skał ku wschodowi i nie znalazłem tam nigdzie drogi na płaskowzgórze. Co teraz mamy czynić?

— Jedno tylko nam pozostaje — odezwał się Summerlee. — Jeżeli zbadaliście stronę wschodnią, zawróćmy ku zachodowi i tam szukajmy drogi.

— Słusznie — poparł go lord Roxton. — Ponieważ płaskowzgórze nie jest bardzo rozległe, będziemy je obchodzili naokoło, póki nie znajdziemy wejścia na górę.

— Zwracałem też uwagę memu młodemu przyjacielowi — mówił dalej Challenger, z takim naciskiem, jakbym był dziesięcioletnim uczniem, że nie można się tam spodziewać drogi wygodnej, gdyż w takim razie płaskowzgórze nie byłoby odcięte od reszty doliny i nie wytworzyłyby się na niem te wyjątkowe warunki, wbrew ogólnym prawom przyrody. Lecz zgadzam się na to, że mogą być miejsca, przez które zręczny i silny

człowiek zdoła się wdrzeć na szczyt, choć nie może przez nie spuścić się na dół ciężkie i niezgrabne zwierzę, a że musi tam być takie miejsce, to nie podlega wątpliwości.

— Na jakiej zasadzie pan to twierdzi? — zagadnął cierpko Summerlee.

— Bo tamtędy wszedł mój poprzednik, amerykańczyk Maple White. Gdyby tam nie był, jakżeby mógł naszkicować tego potwora w albumie?

Spojrzał wyzywająco, lecz nagle zeskoczył ze skalnego odłamu, schwycił swego przeciwnika za szyję i podniósł mu głowę do góry.

— Patrz pan! — wrzasnął głosem ochrypłym od wzruszenia. Czy nie widzisz, że na płaskowzgórzu przebywają żywe istoty?

Ze skały nad naszymi głowami zwieszała się gęsta frendzla zieloności. A z tej zieleni wysunęło się teraz coś czarnego i lśniącego... Gdy zawisło nad urwiskiem, przekonaliśmy się, że to bardzo wielki wąż z głową płaską, kształtu łopaty. Wąż cofnął się zwolna i znikł wśród zieleni.

Summerlee tak się zaciekał tem zjawiskiem, że nie stawiał oporu Challengerowi. Dopiero po dobrej chwili otrząsnął się z rąk kolegi i odzyskał zwykłą godność.

— Byłbym ci bardzo wdzięczny, profesorze — rzekł wyniośle — gdybyś nadal powstrzymał się od chwytania mnie za brodę... Nawet pojawienie się zwyczajnego, skalnego „pytona“, nie usprawiedliwia podobnej poufałości.

— Ale przekonaliście się sami, że tam są żywe istoty — wykrzyknął tryumfująco Challenger. — Teraz zwijajmy obóz i kierujmy się ku zachodowi, szukając drogi...

Podnóżę płaskowzgórza, zasiane skalnymi odłamami, nie było wygodną drogą. Szliśmy też powoli i z trudnością. Lecz spotkaliśmy coś, co nam dodało otuchy, ślady dawnego obozowiska: puste blaszane puszki od konserw z Chicago, butelkę z etykietą „brandy“, złamany klucz do otwierania puszek i różne inne szczątki pozostałe po wędrowcach. Leżał tam i zgnieciony numer „Chicagoskiego demokraty“, ale data była już na nim nieczytelna.

— Nie ja go zostawiłem — powiedział Challenger. — Zapewne Maple White.

Lord Roxton oglądał pilnie paprociowe drzewo, oceniające ślady obozowiska i nagle odezwał się:

— Patrzcie! To wyraźnie drogowskaz...

Do pnia drzewa przybito kawałek odzieży zwrócony na zachód.

— Niezawodnie — potwierdził Challenger. — nasz pionier, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, zostawiał po drodze znaki, ażeby idący za nim mogli zmiarkować, w którą stronę poszedł. Może dalej znajdziemy coś więcej.

Znaleźliśmy istotnie, ale coś strasznego... Pod samą skałą rosła kępa bambusów; niektóre z nich miały po dwadzieścia stóp wysokości, a wierzchołki jak ostre dziły. Gdyśmy je mijali, błysnęło mi w gąszczu coś białego... Wsunąwszy głowę między gałęzie, zobaczyłem... ludzką czaszkę! Obok niej leżał cały szkielet, od którego głowa odpadła.

Wyrąbaliśmy bambusy naokoło i obejrzelśmy te ślady jakiejś dawnej tragedii. Z ubrania pozostały zaledwie szczątki, tylko na nogach szkieletu tkwiły buty, świadczące, że zmarły był człowiekiem cywilizowanym. Pośród kości leżał złoty zegarek z firmą Hudsona z Nowego Jorku i dewizka z brelokiem i samopiszącym piórem. Prócz tego leżało i srebrne porte-cigare, z napisem na wierzchu: „J. C. od A. E. S.“ Stan tych rzeczy świadczył, że katastrofa zdarzyła się niezbyt dawno.

— Kto to mógł być? — zastanowił się lord Roxton... Biedaczysko, wszystkie kości ma pogruchotane!

— Wśród zeber rosną bambusy — zauważył Summerlee. Pomimo, że to roślina prędko rosnąca, nieprawdopodobnem się wydaje, ażeby mogła wyrosnąć na dwadzieścia stóp odkąd to ciało tu leży...

— Nie mam żadnej wątpliwości co do na-

zwiska tego człowieka — odezwał się Challenger. — Jadąc za wami, rozpytywałem się po drodze o szczegóły dotyczące Maple Whita. Pomogli mi do tego szkice z jego albumu; zwłaszcza jeden przedstawiający śniadanie autora z jakimś księdzem w Rosaria. Odszukałem tego księdza, który udzielił mi pewnych wskazówek. Maple

White był w Rosario przed czterema laty, na dwa lata przedtem, zanim ujrzałem jego martwe zwłoki. Nie był sam, lecz z towarzyszem amerykańskim, nazwiskiem James Colver, który został na łodzi i nie brał udziału w śniadaniu z księdzem; nie ulega wątpliwości, że to są jego szczątki.

— I łatwo zrozumieć, w jaki sposób zginął — dodał lord Roxton. — Spadł, lub został zepchnięty z krawędzi płaskowzgórza i nadział się poprostu na ostre wierzchołki bambusów. Dlatego wszystkie kości ma pogruchotane, a bambusy rosną swobodnie między jego żebrami.

Staliśmy w milczeniu nad rozsypanymi kośćmi szkieletu, stwierdzając słusność objaśnień lorda Roxtona. Ale czy on spadł przypadkiem?... A może?... Przeróżające domysły zaczynały się osnuwać w okół pogruchotanego szkieletu, w tym nieznanym kraju...

Poszliśmy dalej bez słowa naokoło skalistych ścian płaskowzgórza, wznoszącego się jak lodowe pole w podbiegunowych krainach, nad masztami podróżniczego statku.

Pożegnanie natury.

Lasy ciemne, łąki wonne!
 Żegnam, żegnam was!
 Cudów waszych nie zapomnę,
 Choć mi wracać czas...
 Czas opuścić górskie czoła
 I kryształ wód,
 By powrócić tam, gdzie woła
 Obowiązek, trud.
 Ale nieba, co się mieni,
 Wód grających fal,
 I swobody i przestrzeni,
 Tak mi żal, tak żal!...
 Że aż łąką zachodzi oko
 I ramiona drżą,
 Chcąc pogrążyć się głęboko
 Ziemi! w krasę twą...
 W murach smutno mi i ciemno,
 Piersi braknie tchu —
 Gdybyś lesie mógł pójść ze mną,
 Lub ja zostać tu...
 Ale inne nasze drogi,
 Chociaż cel ten sam:
 „Radość siać w tłum bliźnich mnogi,
 Wieść do prawdy bram.

.....

O naturo, w szacie z tęczy
 I w koronie zórz —
 Pieśń, co w państwie twojem dźwięczy
 W duszy mojej złóż!
 Słodkim czarem owioń czoło,
 Ogień w sercu wznieć,
 Bym wytrwale i wesoło
 Pracy ciągnął sieć...
 Bym ochoczo biegł w podwoje
 Wiedzy — córy twej —
 A rozstanie z tobą moje
 Zniosę może lżej...
 Bo nauka mi odsloni
 Inne dziwy znów,
 I orzeźwi mię w swej toni
 Z ułud i ze snów.
 A twój urok mię oprzędzie,
 Jak świetlana nić,
 Będę mógł cię znaleźć wszędzie
 I twem tchnieniem żyć.

 A więc żegnaj mi przyrodo!
 Tyś jest żywy cud,
 Który duszę moją młodą,
 Aż do Stwórcy wiódł.

Stefania Ottowa.

Prastary Piastów gród. O SANDOMIERZU

podług X. Rokosznego, skreślił A. Jachondowicz.

d. c

Minęło lat dwadzieścia osiem, jeszcze nie zasklepiły się rany, jeszcze łązy matek i sierot nie wyschły, a znowu jak różga Boża podeszły pod Sandomierz hordy tatarskie, grożąc nową rzezią. Z groźnym pomrukiem rozłożyła się dzicz tatarska dokoła warownego grodu. Widzą zębate mocne mury, widzą ogromne baszty i bramy, żelaznemi wrotami opatrzone i nadzieja w nich upadła.

Wieczorem opuszcza się z muru po linie jakiś kobieta i zdąża ku tatarskiemu obozowi. Księżyc, co się wyłonił z poza chmury, oświecił bladą twarz jej. O hańbo! To córka Kempy, którego zamordowali tatarzy! Straże dają znać dowódcy, że chce go widzieć kobieta. Za chwilę staje w namiocie Halina z płonącymi oczami i silnym głosem oznajmia, że miasta nie zdobędą,

bo jest warowne, ale ona zna przejście podziemne i tędy ich wprowadzi. Tatar uśmiecha się chytrze. „Jeżeli kłamię zabijesz mnie! Ja pójdę przed wami“, woła dziewczyna. I poszli, na przodzie ona z pochodnią w ręku, a za nią tłum wojowników tatarskich. Wstępują w loch zimny, ociekający wodą. Straszą татарów roje nietoperzy, migoce tajemniczo w dali pochodnia. Idą. Loch długi i zda się, że dochodzą do celu pierwsi, a ostatni ledwie wstąpili w ciemne czeluście podziemi. Idą. Nagle ciemno się zrobiło. Pobiegli wnet tłumnie ku wyjściu, a ręce ich uderzyły o zimny kamień. Zdrada! — biegnie krzyk od końca do końca. Rozpacz ogarnia татарów, rzucają się na Halinę, a ona szydząc z nich umiera pod ciosami szabel.

Podeszła więc wroga. Polacy, ukryci w za-

sadce, zawaliwszy otwór podziemi, rzucili się na pozostały obóz i zmusili tatarów do ucieczki, a uwięzionych w lochu spotkała straszna śmierć głodowa. Po setkach lat oberwała się część góry i ujrzano głęboki, długi loch, cały usiany kośćmi ludzkimi.

Utworzony w ten sposób wąwóz nazwano Piszczelami (goleń-piszczel).

I tak zatopiliśmy się z Jankiem we wspomnieniach, że dopiero dzwon na jutrznię wyrwał nas z bolesnej zadumy.

— Idźmy już!

Powoli schodzimy ze wzgórza. Janek zbiera kwiaty, niebieskie campanulle i różowe ślasy. Potem drogą idziemy ku miastu. Tuż za kościołem św. Pawła nęci nas wąwóz, noszący historyczne imię królowej Jadwigi. Głęboki, porośły bujną roślinnością, to naprzemiany, odsłaniający nagie ściany gliniaste, prowadzi nas na zieloną łąkę, niby dywan, rozciągającą się ku Wiśle.

— Widzę— mówi Janek.

— Co widzisz?

— O! król w koronie złotej, a purpurowy płaszcz włóczy mu się po ziemi, berło trzyma w ręku, to Jagiełło!

— Naprawdę widzisz?

Chłopak się roześmiał.

— Wiem przecież, że król nie chodzi codzień w koronie, a mówię tak, bo pan powiadał, że Jagiełło lubił się tu przechadzać i wieczorem słuchać śpiewu słowików.

Uściskałem chłopca.

— Wracajmy. Pewno czekają na nas w hotelu.

Istotnie tak było. W restauracji hotelowej znaleźliśmy towarzystwo zebrane przy śniadaniu. Humory były znakomite. Powitano nas okrzykami i gradem pytań.

Janek promienieje z uciechy.

Po śniadaniu wyruszamy na miasto. Oglądamy bramę Opatowską, wyniosła niby wieża,

panująca nad całą okolicą. Zaglądamy do kilku kościołów i do synagogi, mającej pono 600 lat. Żydzi, modlący się w niej, mają śmiertelne koszule, ozdobione haftem srebrnym, zdradzającym robotę dawną. Na kopulastem sklepieniu wyobrażone znaki słoneczne. Na ścianach tablice hebrajskie. Panuje tu pomruk modlitewny, przerywany od czasu do czasu głośnie recitativo (czytaj: recytacziwo rabina).

Oglądamy następnie ratusz, pochodzący z XIII wieku, pod którego sklepieniami teraz odzywają się głośnie echem: okrzyki karciarzy i strzelają w górę korki butelek szampana. Mieści się tu re-

sursa. Pokazują nam jeszcze na górze długie miecze katowskie, jakimi ścinano dawniej głowy i parę portretów historycznych osobistości.

Nie można też pominąć domu Zbigniewa Oleśnickiego. Tu odbyła się głośnie w dziejach narodu „Zgoda Sandomierska”. Było to w r. 1570. Protestanci polscy trzech odłamów: luteranie, kalwini i bracia czescy zebrali się tu na naradę w celu dalszego szerzenia reformacji w Polsce. Po długich debatach zgodzono się na to, ażeby teologowie trzech wyznań zjechali się do Warszawy w celu ułożenia nowego polskiego wyzna-



Obraz Matki Boskiej w Katedrze Sandomierskiej.

nia. Ale cel ten osiągnięty nie został. Tak kalwinizm jak i luteranizm, wyznania nie mające w sobie nic z ducha polskiego i z obczyzny pochodzące, nie mogły się rozkrzewić w Polsce, a o „braciach czeskich” oddawna już głucho.

Południe. Dzwony katedry wzywają nas do kościoła. Idziemy.

Świątynia uderza swą powagą, ogromem i wysokością. W dali płonące świece wielkiego ołtarza rozjaśniają ciemne presbiterium; biskup odprawia mszę. Ściany kościoła do trzech czwartych wysokości zawieszono są olbrzymimi obrazami, przedstawiającymi w dolnym szeregu męczeństwo kapłanów — w górnym sceny z Ewangelii. Te pierwsze, są to malatury najgorszego pędzla; przykre zostawiają po sobie wrażenie i szpecą kościół. Dopiero pełne tajemniczości presbiterium, ozdobione gobelinami i girlandami zieleni podnosi nastrój o kilka tonów, a subtelnymi kolorami malowany fresk bizantyjski „Ostatnia Wieczerza”, ciągnie ku sobie oczy.

Pięknie tu. I zdaje się, że w tej chwili z mroku i mgieł kadzielnich wystąpią kołem tęczowem postacie: Kazimierza W., Jagiełły, Jadwigi, Długosza, Batorego i Złotoustego Skargi...

Opuściwszy katedrę, zwiedzamy jeszcze dom Długosza, a mijając piękny zamek, zdążamy ku kościołowi św. Jakuba. Coś tak pięknego w szczegółach rzadko zdarza się widzieć. Weźmy choćby głośny portal (wejście). „Jest on, pisze Gerson, arcydziełem wyrobu z gliny palonej, częścią glazurowanej. Staranność wykonania wszystkich szczegółów i ozdób tego portalu jest zadziwiająca. Głowy, liście wypukłe, nawet ozdoby ryte, skutkiem dobranego materiału i należytego wypalenia przez sześćset kilkadziesiąt lat zachowały się w pierwszej swojej czystości”.

Ściany zewnętrzne i obramienia okien ozdobione są deseniowemi cegiełkami z gliny glazurowanej. Wewnątrz pułap drewniany, modrzewiowy, stare pomniki z gotyckimi napisami, cła św. Jacka, grobowiec św. Adelaidy, córki Kazimierza Sprawiedliwego — wszystko to unosi nas w zamierzchłe czasy. Jeszcze, zda się, słysząc zastygły krzyk mordowanych tu 49 zakonników.

Odchodzimy. A na pożegnanie biją nam dzwony świętojakubskie; są to *najstarsze dzwony w Polsce*.

W zewnętrzne ściany kościoła św. Pawła widzimy wmurowane kule armatnie. Są to ślady walk, stoczonych na tem miejscu przed 101 laty.

Niedaleko położony wawóz św. Jadwigi i ten

kościół przypominają nam krwawe zapasy polaków z austryakami w r. 1809. W pierwszej położył klęskę wróg prażony z góry ogniem przez żołnierzy polskich, a drugi...

Lecz posłuchajmy co powie generał Weysenhof w swym pamiętniku.

Było to 16 czerwca 1809 r.

„Udałem się do posterunku na cmentarzu św. Pawła. Ten posterunek, panujący nad całym położeniem, zdawał się najważniejszym. Broniły go dwie kompanie pułku 12-go pod dowództwem dzielnego pułkownika Białkowskiego, jedno dział sześciofuntowe i granatnik polny. Słabać to obrona, ale jej wzmocnić nie było czem. Noc była spokojna, ale nadzwyczaj ciemna; do oświetlenia trochę pola przed sobą były przygotowane wielkie stosy drzewa opodal cmentarza. Wybrałem zaufanego podoficera i dałem mu kilku żołnierzom z rozkazem, aby z nich ustawił łańcuch i słuchał. Wkrótce zbiegła się straż, zapaliły się stosy i raport podoficera: „już idą”. Żołnierzom moim, w największej cichości, kazałem się ukryć za murkiem. Przypuściwszy nieprzyjaciela na 40 kroków dałem komendę: „teraz podnosić się spokojnie — powolny ogień”. Żadna kula nie chybiła. Nieprzyjaciół przerażony zachwiał się i usławszy pole trupami przed cmentarzem, cofnął się”.

„Później strzelcy ukryci w parowach, które otaczały cmentarz, zaczęli nam szkodzić. Postrześliśmy, że kolumna nieprzyjacielska ciągnie po naszej lewej stronie, dążąc do zajęcia nam tyłów. Położenie nasze było krytyczne. Osądziliśmy, że lepiej walczyć widząc nieprzyjaciela, kazałem bramę otworzyć. Jak przewidywałem austriacy zaszedszy z tyłu, biegli prosto na bramkę, która ich tembardziej wabiła, że była otwarta. Białkowski przypatrywał się z największą bacznością... i w momencie, kiedy nieprzyjaciół już wchodził w bramkę, zawołał: „A palże do nich!” Wystrzał był tak skuteczny, że oficerowie i żołnierze, idący na czele, padli wszyscy, a reszta, zmieszana, ratowała się ucieczką.”

„Kiedy się to działo, ja, atakowany od frontu, pomyślnie odpierałem nieprzyjaciela, a chcąc aby dział kartaczami strzeliło, wpadłem na platformę, kanoniera porwałem za kołnierz i wciągnąłem go na platformę... Wtem kanonier, kulą w piersi ugodzony, upadł mi pod nogi. Lont gorejący, który trzymał w ręku, zapalił ładunki. Wybuch był tak silny, że mnie rzuciło o kilka kroków w tył, spaliwszy mi mundur na węgiel, a twarz i oczy do

żywego opaliwszy. Nie przeszkadzało mi to być czynnym.

Odtąd nieprzyjaciel zaniechał ataku. Już się i dzień wielki robił i słońce wzeszło. Tak się ten szczęśliwy dzień w tym punkcie skończył". (Pam. gen. Jana Weyssenhofa r. V.).

Nazajutrz zapoznajemy się z kościołem Bernardynek, dzisiejszem seminaryum duchownem. Zakrystyan pokazuje nam w skarbcu puszkę do N. Sakramentu, w której bieleje wprawiony srebrny pieniądz.

— To jeden z tych trzydziestu srebrników — objaśnia — za które Judasz Pana Jezusa sprzedał.

Oczywiście, że to nie prawda, bo nie wiadomo czy ów pieniądz żydowski, sykiel, zwany za czasów Chrystusa srebrnikiem, jest rzeczywiście oryginalny.

W muzeum dyecezyalnem oglądamy pomiędzy mnóstwem rzeczy, model starego śpichrza sandomierskiego, pozbawionego już dzisiaj ozdób, fajkę Mickiewicza, który jak wiadomo był namiętnym palaczem i urny z prochami naszych przodków pogańskich, wykopane pod Sandomie-

rzem, w górach Pieprzowych. Świadczą one, że tu w czasach przedhistorycznych istniały grodziska słowiańskie.

Jeszcze jedna pamiątka historyczna: pod murem klasztoru bernardynek 15 czerwca 1809 r. zginął dzielny oficer, książę Lubomirski, który szedł na czele przedniej straży wojsk polskich. Kula, wypuszczona z zajmowanej wówczas przez austriaków bramy Opatowskiej, zraniła śmiertelnie bohatera, okrywając kirem dzień polskiego zwycięstwa.

Był ranek, gdyśmy stojąc na pokładzie statku, żegnali wzrokiem dziwnie piękne miasto. Mgły poranne niby welonem spowiły spiętrzone gmachy i kościoły, a pławiące się w promieniach ranego słońca szczyty prastarych gmachów, zdawały się żegnać nas, błogosławiąc, tkwiącymi pod szafirowem niebem, krzyżami kościołów.

Wiatr szumiał i grał jakąś piosenkę, koła statku z hałasem rozbijały wodę, a mnie się zdawało, że słyszę oddalony śpiew zakonników.

Salve Regina!...

KASANDRA.

Kasandra, którą niekiedy zwą Aleksandrą, była to córka króla Troi—Pryama i żony jego Heleny, bliźniaczki Helenosa.

Podanie mówi, że gdy raz dzieci bawiły się same w przedsionku świątyni Apolina i zadługo się tam zasiedziały, aby je można było zabrać na noc do domu, piastunki zrobiły im posłanie z liści laurowych i ułożyły do snu.

Gdy piastunki te przyszły nazajutrz po dzieci, znalazły tam dwa węże bawiące się z dziećmi i liżące je pieszczotliwie; zwłaszcza liżały im ciągle uszy i podobno wskutek tego, słuch u tych dzieci tak się zaostriżył, iż mogły słyszeć nawet głosy bogów.

Od tego czasu Kasandra, z początku często a później ciągle przebywała w świątyni Apolina, a rosnąc stawała się coraz ładniejszą, zachwycając swą urodą nie tylko ludzi, ale nawet bogów; szczególnie upodobał ją sobie Apollo i w łasce swej obdarzył ją darem wieszczbiarstwa.

Uroczą wieszczką wróżyła, przyszłość przepowiadała, prorokowała; zbliżano się do niej ze czcią, słuchano co powie, stosowano się do jej słów i rad.

Gdy jednak wynikło nieporozumienie pomiędzy Apolinem a Kasandrą, rozgniewany bóg ukarał ją tem, iż odebrał jej dar prorocy, właściwie mówiąc daru tego nie odebrał, ale to sprawił, że nikt wieszczbom Kasandry nie chciał wierzyć, wróżby jej lekceważono, z przepowiedni żartowano lub się wyśmiewano.

Biedna wieszczka strasznie z tego powodu cierpiała; ona to przepowiadała upadek Troi, ona to przestrzegała, aby nie wprowadzano do miasta zdradzieckiego drewnianego konia; rozpaczliwym głosem, z włosiem rozwianym, rwąc niemal szaty na sobie przemawiała do ludzi, do tłumów, prosiła, zaklinała, aby ją usłuchano, ale na próżno! Wzięto ją za szaloną i... stało się! Troja upadła a Kasandra została niewolnicą wrogów; przy podziale dostała się Agamemnonowi, który ją zawiózł do Myceny.

Gdy pana swego przestrzegała, aby się miał na ostrożności, gdyż żona jego Klitemnestra godzi na jego życie, znów słowom jej nie dano wiary, a jednak tkwiła w nich prawda. Klitemnestra zgładziła podstępnie swego małżonka, zamordowała też i Kasandrę.



Katastrofy.

Koniec zeszłego miesiąca zaznaczył się dwoma tragicznymi wypadkami; w jednym z nich kilka rodzin polskich poniosło ciężkie ofiary. Zaczynamy od katastrofy na Dnieprze. D. 28 odbywały się w Kijowie regaty Tow. gimnastycznego; po ukończeniu ich i odjeździe uczestników i publiczności, p. Arciniowski, technik z zawodu, zaproponował kilkunastu znajomym spacer w górę rzeki na łodzi motorowej, którą sam wybudował. Była to szeroka, mocno osadzona szalupa, z przystawionym motorem francuskiej konstrukcji. Wielokrotnie ją próbowano, więc nie budziła w nikim obawy. Amatorów wycieczki znalazło się sporo. Z powodu zmroku przymocowano do łodzi ogromną latarnię acetylenową z jasnym reflektorem. Aż do miejscowości „Natałka”, położonej o 7 mil od Kijowa, podróżni płynęli spokojnie, ale w drodze powrotnej spotkał ich holownik „Hercel”, idący w pełnym biegu blisko brzegów Dnieprowych. Za kołami statku powstały olbrzymie fale, które szalupa przebyć musiała. Kierownik, p. Ar., chcąc jaknajprędzej wydostać się na środek rzeki, puścił motor w szybszy ruch i rozpędzona łódź uderzyła dziobem w stromy wał wody, której obfite strumienie padły na głowy osób płynących. Po pierwszej fali przyszła gwałtowniejsza druga, zachwiawszy ostatecznie równowagę. Rufa z ciężkim motorem zatonała, a dokoła przewróconej szalupy zaczęły się rzucać i chwytając rękami i zębami za burt oszalałe z trwogi postacie. Ocalenie tonących byłoby możliwe, gdyż za motorówką płynęła o 500 metrów łódź sześciowiosłowa, ale turkot maszyn holownika stłumił okrzyki rozpacz. Pierwszy zginął p. Arciniowski. Tylko trzy osoby zdołano uratować z nurtów głębokich, reszta straciła życie, pozostawiając domy i sieroty w żałobie.

Między tymi p. Oraczewska z synem i panna Drzewiecka pochodzili z Warszawy.

Pod powyższą datą, na wyspie Rugii, w miejscu kąpielowym Binz, dojeżdżał do przystani wielki parowiec niemiecki. Nagle część pomostu złamała się pod nadmiernym ciężarem tłoczących się ludzi, którzy w jednej chwili wpadli do morza. Najwyższe przerażenie ogarnęło zgromadzoną na brzegu publiczność; los ją oszczędził, ponieważ na ogromnej, 600-metrowej przestrzeni pomieścić się już nie mogła. Mimo, iż marynarze okrętu dzielnie się sprawili, pomoc była utrudniona z powodu ciemności nocy i wzburzonych bałwanów. Utonęło kilku oficerów marynarki i blisko 40 mieszkańców Greifswaldu. Mnóstwo osób rannych, przeważnie kobiet. Oskarżają zarząd kąpielowy o niezachowanie porządku i ostrożności.

Ostatnie wiadomości telegraficzne przyniosły wstrząsające szczegóły o wypadku, jaki się zdarzył w kopalni pod Bochumem (prowincja nadreńska) na początku b. m. Zawalenie się szybu węgla wraz z pożarem nastąpiło w godzinach rannych, kiedy w chodniku zawartego piętra pod ziemią zajętych było pracą 650 górników. Na widok wydobywającego się dymu, niechybnej oznaki ognia, ratunek rozpoczęto bezwzględnie. Wydobywano do południa trupy zwęglone (w liczbie 126 ludzi), których rodziny poznać nie mogły, i ciężko rannych, mających niktłe ślady życia; ci zostali odniesieni na noszach do miejscowego szpitala. Naoczny świadek przytacza, że wszyscy zmarli mieli ręce i ramiona do góry wzniesione albo wyciągnięte przed siebie, jak gdyby w chwili wybuchu chcieli oddalić śmierć straszną. Wielu pozornie uduszonych górników ocalało przez zastosowanie wdychania tlenu. Między otariami jest 48 spalonych polaków a 14,

k którzy dogorywają zdala od ziemi ojczystej, w bólu i opuszczeniu. Pomimo wyteżonego ratunku, dwie części kopalni „Lotringja” stoją w płomieniach. Różnym przyczynom przypisują to wielkie nieszczęście, ale najpewniej, przy rozsadzaniu ścian jakiejś komory materiałem wybuchowym, wszczął się ogień od nagromadzonych gazów w szybie, z którego już się wydostać nie było sposobu.

Śmierć w górach.

Przed miesiącem wyruszyło do Zakopanego grono słuchaczy uniwersyteckich z Krakowa, pod przewodnictwem profesora, na wycieczkę naukową w Tatry. Jedną z uczestniczek, p. Szystowska, zmęczona widocznie długim pochodem, oznajmiła kierownikowi, że chce jakieś pół godziny wypocząć, a potem podąży za towarzyszącymi. Zgodzono się na to (bardzo nieopatrznie, co prawda) i młoda panna pozostała w tyle. Niewiedomo, czy opóźniwszy się zbyt, postanowiła zejść sama w dolinę, czy też zmyliła drogę, dość że przepaści pod stopami nie dojrzała i skalne głębiny nieszczęśliwą turystkę pochłonięły. Przełęcz Małolęcniak, gdzie nastąpił ten straszny wypadek, pokryta jest w lecie bujną trawą, mogącą zdradzić nieostrożnych; jeden krok zbyt, naprzód życiem się przypłaca. Około trzech tygodni szukano bez wytchnienia ś. p. Szystowskiej po wszystkich szczytach, rozpadlinach i kryjówkach górskich; ostatniej dopiero wyprawie, którą urządził p. Zaruski, udało się nareszcie odnaleźć zwłoki ofiary z roztrzaskaną o złomy głowę i połamanymi nogami, w głębokości 150 metrów. Pogrzeb uroczysty odbył się d. 2 b. m. w Zakopanem, a brały w nim udział stowarzyszenia miejscowe i 2,000 gości.

BIURO NAUCZYCIELSKIE M. BALIŃSKIEJ.

Poleca: nauczycieli, nauczycielki,
bony, freblanki, ochroniarki.

Widok 13, tel. 77-34.

20. 118. 8.

ZAKŁADY GRAFICZNE B. WIERZBICKI i S-KA

WARSZAWA, CHMIELNA 61.

46-73 TELEFONY 92-30.

KLISZE DO DRUKU JEDNO
I WIELOBARWNE.

DRUK TRÓJBARWNY.

DRUKARNIA ARTYSTYCZNA.

CHROMO I FOTOLITOGRAFIA.

ŚWIATŁODRUKARNIA.

KILOMETRO-FOTOGRAFIA.

RYSOVNIA.

ŻĄDAMY ZAPALEK KRAJOWYCH.

O piękna Pani! „Ziarno do ziarnka”

Głosi przypowieść ludową...

*Wydaj więc rozkaz, by Twa kucharka
Brała Zapalki z Mszczonowa.*

El. (K. Laskowski).

Pierwszorządny ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY J. Malarski & K. Tavrell

w Warszawie

Nowy Świat 57, telef. 224-20.

Wykonywa wszelkie roboty w za-
kres fotografii wchodzące w zakła-
dzie jak również za obrębem tegoż.

Dla prenumeratorów Wieczorów Rodz.

RABAT

WAŻNE

Od tuzina kart pocztowych 10%
Od tuzina fotografii wizytowych 15%
Od tuzina fotografii gabinetowych 20%
Od portretów, grup i albumów 25%

WAŻNE

TREŚĆ № 33. Galerya Drezdeńska,
przez Janinę Porazińską (z 2 ryc.) —
Sposoby przenoszenia się z miejsca na
miejsce, przez W. U. — Zaginiony świat,
przez Conan Doyle (z 1 ryc.) — Poże-
gnięcie natury, przez Stefanję Ottową —
Prastary Piastów gród, przez A. Jachon-
dowicza (z 2 ryc.) — Kasandra. — Z pię-
ciu części świata.

DZIAŁ DLA DZIECI. Nad morzem
(z 2 ryc.) — Bitwa pod Waterloo, przez
M. G. (z 1 ryc.) — Wicus i Julek, przez
Świerszcza. — Zadania i łamigłówki.

PIERWSZORZĘDNE

Kaucyonowane Biuro Nauczycielskie

LEOKADYI MAX

poleca: nauczycielki, nauczycieli, fre-
blanki, Francuzki, Angielki, Niemki —
sprowadza z własnych biur zagraniczn.
Warszawa, Marszałkowska 148, tel. 124-38.

26. 104. 22.

ZAKŁAD FROEBLOWSKI SĄCHOCKIEJ

Konwersacja francuska, niemiecka,
gimnastyka rytmiczna słoń, ogródek.
Dzieci od 3—9 lat. Kursy dla doro-
stych. Wilcza 28.



PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA NIETŁUKĄCYCH SIĘ LALEK Jana Wodniakowskiego

w Warszawie, Leszno 100

POLECA WYROBY WŁASNE:

LALKI najpraktyczniejsze skórzane i płó-
cienne.

LALKI ubrane w wielkim wyborze.

LALKI w narodowych kostjumach.

LALKI z nietłukącymi się, pięknymi głów-
kami.

LALKI z peruczkami z prawdziwych wło-
sów, z imitacji lnu.

NOWOŚCI!! KONFEKCJA DLA LALEK W WIELKIM WYBORZE.

Części zapasowe oraz farba, guma do reperacji.

CENY FABRYCZNE

TANIO

Uwaga! Kantor i sprzedaż detaliczna p. t. „RAJ DZIECIĘCY” Chmielna 26, telefon 217-46.

WARUNKI PRENUMERATY:

„WIECZORY RODZINNE” kosztują w Warszawie: Rocznie rb. 4. Półrocznie rb. 2.
Kwartalnie rb. 1. Za odnośnienie dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

Z przesyłką pocztową w granicach państwa: Rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50,
kwartalnie rb. 1 kop. 25.

Za granicą: w Austrii 14 koron, z dodatkami 21 koron rocznie.

„ w Niemczech 12 marek, z dodatkami 19 marek rocznie.

Za oprawę dodatków bezpłat. książkow. dopłaca się 2 rb. 40 k. rocznie, t. j. po 20 k.
od tomu. Na przesyłkę podarunków należy dołączać kop. 40 w stosunku rocznym.

Warunki ogłoszeń:

2 i 3 strona wiersz 1 szpalta kop. 20
w tekście nadesłane „ „ „ 50

Adres redakcji i administracji:

Redaktor: Władysław Umiński.

Warszawa, Krak. Przedm. 69. Telefon 194-06. Wydawcy: Tow. Wydawnicze „Świt”.



WIOSENNY PORANEK.